

## Dyskusja o euro: komentarz

W swoim wystąpieniu dr Eryk Łon poruszył niezwykle ważną, lecz rzadko dogłębnie analizowaną, kwestię kosztów przyjęcia przez Polskę wspólnej waluty europejskiej. O ile łatwo przyznać dr. Łonowi rację, że przyjęcie euro wiąże się z pewnym ryzykiem, o tyle znacznie trudniej zgodzić z jego oceną tego ryzyka i z niektórymi argumentami, które przytacza na obronę swojego stanowiska.

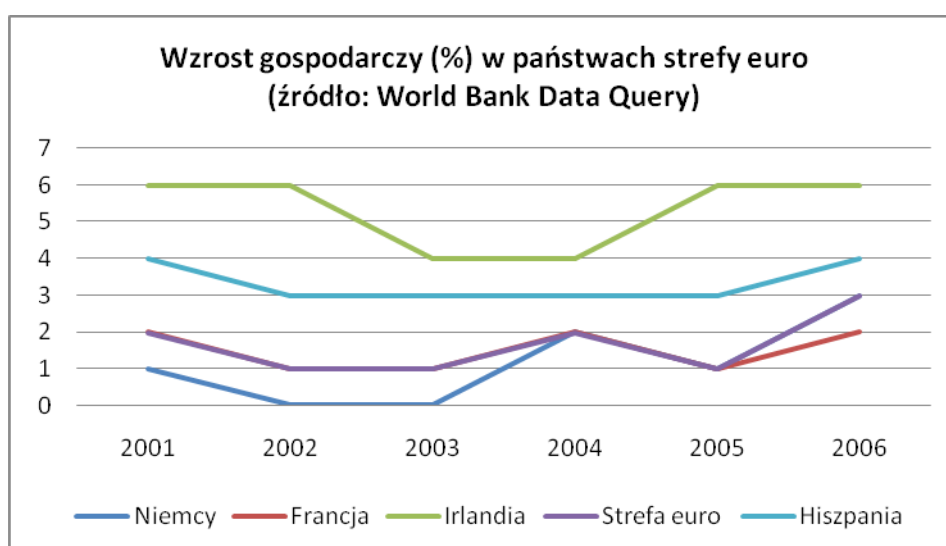
W pierwszej kolejności dr Łon przedstawia kilka trafnych uwag natury prawnej, z których wyłania się przekonanie, że zapisy legislacyjne – np. te dotyczące polskich zobowiązań traktatowych – nie stanowią świętości same przez się i nie powinny krępować merytorycznej dyskusji na temat kosztów i korzyści przyjęcia euro. Pobrzmiewa w tych słowach słynna uwaga F. A. Hayeka, że należy oddzielać rzetelną analizę różnych rozwiązań gospodarczych od czysto pragmatycznej oceny ich politycznej wykonalności. Zatem na przykład dyskusja o tym, czy bilans przyjęcia euro będzie dla naszego kraju korzystny ma zupełnie inny charakter od debaty na temat rozwiązań instytucjonalno-prawnych, które regulują kwestię naszej akcesji do EMU.

Po tym wstępie autor przechodzi do argumentów, które w jego ocenie podważają słuszność przyjęcia przez Polskę wspólnej europejskiej waluty. Po pierwsze, jego zdaniem, wiązałyby się to z utratą suwerenności w dziedzinie polityki pieniężnej. Polska jako część Eurolandu nie mogłaby wówczas samowolnie stymulować swojej gospodarki przez manipulację stopami procentowymi, a polscy przedsiębiorcy zostaliby zostawieni na pastwę losu, bo nikt w EBC nie brałby pod uwagę ich postulatów. Po drugie, ponieważ strefa euro jest „jednym z najwolniej rozwijających się regionów świata”, to według dr. Łona, wstąpienie do niej oznaczałoby zahamowanie procesu konwergencji polskiej gospodarki do zamożniejszych zachodnich sąsiadów. Za przykład do naśladowania dr Łon podaje natomiast kraje Dalekiego Wschodu, które „nie wyprzedają sektora finansowego obcokrajowcom” i nie „brzydzą się” promować eksportu poprzez zręczne używanie instrumentów polityki pieniężnej.

Użycie przez autora słów nacechowanych emocjonalnie niestety nie dodaje jego argumentom wagi. „Wyprzedawanie” sektora finansowego obcokrajowcom nosi zazwyczaj nazwę bezpośrednich inwestycji zagranicznych i jest fundamentalnym warunkiem odzyskania sprawności gospodarczej przez zapóźnione w rozwoju lub zrujnowane latami złych rządów państwa. Oczywiście można mieć poważne zastrzeżenia do procedur prywatyzacyjnych, które przyjęto w Polsce w latach 90., ale trudno doprawdy budować na tym argument przeciwko otwartości na kapitał zagraniczny. Jak uczy teoria szkoły austriackiej, trwały wzrost gospodarczy można osiągnąć tylko dzięki inwestycjom popartym rzeczywistymi oszczędnościami. Społeczeństwa biedne, wskutek np. destabilizacji polityczno-gospodarczej, charakteryzują się na ogół wysoką czasową preferencją – tzn. ich obywatele przedkładają niższą konsumpcję natychmiast nad wyższą konsumpcję odroczoną w czasie – co przekłada się na niską podaż oszczędności i uniemożliwia sfinansowanie niezbędnych inwestycji. Ponieważ zaś rozwoju gospodarczego nie można osiągnąć po prostu przez dodruk pustego pieniądza, to brak oszczędności krajowych uzupełnia się oszczędnościami zagranicznymi.

Także drugi z przytoczonych argumentów, mówiący o promocji polskiego eksportu za pomocą instrumentów polityki pieniężnej, nie wydaje się w pełni trafny. Wszak użyty przez dr. Łona eufemizm oznacza po prostu aprobatę dla dokonywania przez bank centralny interwencji walutowych, które osłabiają złotówkę względem walut naszych partnerów handlowych. Chodzi zatem po prostu o to, aby zwiększyć inflację i tym sposobem przerzucić koszt subsydium dla eksporterów na zwykłych konsumentów. Ale dlaczego w ogóle wspierać eksporterów? Rozumowanie wydaje się zwodniczo proste: produkt krajowy brutto (PKB) jest sumą konsumpcji, wydatków rządowych, inwestycji oraz eksportu netto (czyli eksportu pomniejszonego o import). Stąd im większy eksport, tym większe PKB, zaś eksport będzie tym większy, im tańsza będzie złotówka. Niestety scenariusz ten zupełnie pomija dużą importochłonność polskiej gospodarki, tzn. fakt, że aby coś wyprodukować i potem sprzedać za granicą trzeba najpierw importować zaopatrzenie z zewnątrz (najprostszym przykładem jest tu ropa czy gaz). Paradoksalnie zatem interwencyjne zdeprecjonowanie polskiej waluty, mające poprawić sytuację eksporterów, może ją pogorszyć. Co więcej, analiza klasyków myśli ekonomicznej uczy, że eksport jest po prostu sposobem płacenia za import: sprzedając dobra za granicą, polscy eksporterzy otrzymują dewizy, które w ostatecznym rozrachunku muszą wrócić do kraju swego pochodzenia, bo tylko tam mają siłę nabywczą. Stąd w dłuższym horyzoncie czasowym – bez państwowej interwencji – import i eksport muszą się wyrównać. Nie oznacza to, że nie należy promować eksportu. Przeciwnie – wszystkie przejawy dobrowolnej wymiany należy wspierać, ale nie przez subsydiowanie jednych grup kosztem innych, lecz przez likwidowanie niepotrzebnych utrudnień i regulacji.

Kolejny argument dr. Łona dotyczył niskiego wzrostu gospodarczego w strefie euro, który w przypadku integracji miałby się niejako przenieść na Polskę. Rzeczywiście tempo wzrostu gospodarczego w Eurolandzie jest znacznie niższe niż w Polsce, bo w 2006 r. wyniosło jedynie ok. 3%. Trzeba jednak pamiętać, że wzrost gospodarczy dla całej strefy oblicza się uśredniając wyniki indywidualnych państw członkowskich. I tak np. należąca do EMU Irlandia rozwija się w podobnym tempie jak Polska. Niewiele z tyłu pozostaje Hiszpania, a średnią unijną ewidentnie obniżają wyniki Francji i Niemiec (patrz rys. poniżej).



Rys. Wzrost gospodarczy w krajach strefy euro

Koniunktura u naszych partnerów handlowych ma oczywiście pewien wpływ na sytuację w kraju, ale nie wydaje się wcale oczywiste, dlaczego o zmniejszeniu wzrostu gospodarczego w Polsce miałyby zdecydować przeniesienie władzy monetarnej z Warszawy do Frankfurtu. Przeciwnie, na pierwszy rzut oka wydaje się naturalne, że wspólny pieniądź powinien sprzyjać rozwojowi wymiany handlowej i lepszej alokacji międzynarodowego kapitału chociażby przez wyrugowanie kosztów transakcyjnych oraz ryzyka kursowego.

Rzeczywiście, pieniądź jako powszechny środek wymiany ma tym większą wartość, im jest bardziej powszechny. Dlatego właśnie w XIX wieku, czyli w czasie wielkiej ekspansji międzynarodowych stosunków gospodarczych, rolę pieniądza spełniało złoto, którego różne miary wagowe stanowiły podstawę poszczególnych walut (dolar był np. zdefiniowany jako 0,05 uncji złota, a funt szterling jako ok. 0,25 uncji złota itd.). Niebezpieczeństwo przyjęcia wspólnej waluty europejskiej nie wynika stąd, że będzie ona wspólna – na tym powinniśmy akurat zyskać – lecz raczej stąd, że będzie ona kolejnym pustym pieniądzem papierowym, dostarczonym przez instytucję państwową, a nie przez rynek. Instytut Misesa stoi na stanowisku, że zarówno historia gospodarcza jak aprioryczna teoria ekonomii wskazują, iż dobry pieniądź powstaje w spontaniczny sposób na rynku jako środek umożliwiający i racjonalizujący proces dobrowolnej wymiany. Natomiast państwowa ingerencja w sferę pieniądza prowadzi do obniżenia stóp procentowych poniżej poziomu rynkowego (wynikającego z realnych oszczędności) i błędnej alokacji kapitału, a w konsekwencji do cyklicznych zmian koniunktury (co, jak słusznie zauważył dr Josef Christl z austriackiego banku centralnego, widać było nader dobrze przy okazji kryzysu z 2001 r.).

Ta ostatnia obserwacja jest oczywiście jednakowo prawdziwa w odniesieniu do krajowych, jak i do ponadnarodowych banków centralnych. Kiedy państwo emituje własny pieniądź, samo czerpie z tego zyski, ale też samo ponosi konsekwencje nieodpowiedzialności fiskalnej. Wobec pustej kasy, wzrost wydatków rządowych finansuje się na ogół emisją obligacji skarbowych, co wywołuje presję na wzrost stopy procentowej i z jednej strony prowadzi do odciążenia rzadkich zasobów od przedsiębiorców i wyparcia z rynku kapitałowego inwestycji prywatnych (a przez to zmniejszenia realnej struktury produkcji), a z drugiej do zwiększenia kosztów obsługi długu publicznego z poprzedniego okresu i dodatkowo obciążenia ryzykiem waluty krajowej. Brak opamiętania ze strony rządu może pociągnąć za sobą dewaluację, dalszy spadek zaufania, wycofanie się inwestorów zagranicznych, a w perspektywie nawet krach całego systemu finansowego. Kiedy jednak, zamiast emitować własny pieniądź, państwo przyłącza się do strefy euro, praktycznie wszystkie czynniki dyscyplinujące przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Nieodpowiedzialność fiskalna i lekkomyślność polityczna wciąż wiążą się z konsekwencjami, tyle że konsekwencje te nie dotyczą już jednego państwa, lecz rozlewają się na całą strefę. I tak karą za rozdęty budżet jednych gospodarek są droższe kredyty oraz mniejszy wzrost gospodarczy w całej Unii, zaś każde z państw członkowskich staje przed następującą alternatywą: może albo prowadzić prorynkową, zdyscyplinowaną, politykę fiskalną, licząc na to, że pozostałe kraje też tak zrobią dla dobra ogółu i większej prosperity w całej Europie, albo rozdać wydatki publiczne skrycie wierząc, że koszt prowadzenia przez nie takiej polityki spadnie na innych. Wybór jest więc w skrócie taki: pasożytować na innych lub dać innym pasożytować na sobie. Nie sposób

apriorycznie określić, który z tych scenariuszy weźmie górę, ale dotychczasowe doświadczenia skłaniają raczej ku umiarkowanemu pesymizmowi.

Oczywiście istnieją pewne zabezpieczenia instytucjonalne, mające hamować fiskalną nieodpowiedzialność państw członkowskich (na mocy traktatu z Maastricht dług publiczny i roczny deficyt budżetowy nie powinny przekroczyć odpowiednio 60% PKB i 3% PKB). Krajowi, który nie zdoła spełnić tych wymagań grozi kara. Tu jednak nasuwa się kolejna wątpliwość, czy Komisja Europejska ośmieli się wyciągać konsekwencje wobec najbardziej wpływowych (i najbardziej zadłużonych) członków Unii, a także czy nawet surowa kara finansowa zdoła zmienić politykę fiskalną niezdiscyplinowanych dotąd rządów.

Niestety wiele wskazuje na to, że jedynym pożądanym wyjściem z tej niestabilnej i konfliktogennej sytuacji, w której każde z państw członkowskich prowadzi własną politykę fiskalną i jednocześnie wspólną politykę monetarną w ramach UE, będzie centralizacja aparatu fiskalnego i podatkowego w Brukseli. To natomiast w najbardziej pesymistycznym – lecz także niestety najbardziej prawdopodobnym scenariuszu – groziłoby rozszerzeniem nieefektywnego, redystrybucyjnego i przeregulowanego modelu państwowego na całą Unię.

Podsumowując, przystąpienie do strefy euro polega na przekazaniu większości uprawnień Narodowego Banku Polskiego jego odpowiednikowi we Frankfurcie. Głównego zagrożenia związanego z unią walutową można jednak upatrywać – inaczej niż dr Łon – nie tyle w samym zrzeczeniu się suwerenności w zakresie polityki pieniężnej, co w mechanice procesu integracji pieniężnej w Europie, która w przyszłości grozi centralizacją polityki fiskalnej i budową nieefektywnej gospodarki etatystycznej wzorowanej na modelu francuskim czy niemieckim.

Juliusz Jabłecki, ekspert Instytutu Misesa